



Z NASZYCH KRAJOBRAZÓW.



38. TETERÓW. POD ZYTOMIERZEM.

fol. W. Męczyński, ze zbiorów Pol. Tow. Kraj.



ZYGMUNT GLOGER

(Garstka wspomnień osobistych w pierwszą rocznicę zgonu). 3)

To też darzono młodzieńca wzajemnym szacunkiem i za przykład swym dzieciom stawiano.

Nigdy nie zapomnę, z jakim oburzeniem, (on, taki zawsze spokojny i równy!) odezwał się niegdyś przedemną o słynnym gwałtowniku, ziemianinie z pod Łomży, który w szale gniewu rzucał się na służbę, a wypoliczkowawszy raz owczarza, o śmierć go przyprowadził... Wrażenie to na mnie uczyniło takie, że lubo sam raptuśnik nieposkromiony, odrazu dyabła w sobie w miejscu osadziwszy, inaczej już na lud spoglądać zacząłem. O! za to wdzięczność Glogerowi poza grób zachowam!

Nigdy przynigdy Glogera, czy to studenta Szkoły Głównej czy uniwersytetu, żadne nie widywały knajpy. Nie pił, nie palił, nałogów żadnych nie miał i stałe od gwaru stronił, pamiętając snadź na słowa poety, iż „najdzielniejszy duch w skupieniu.” Już w tym czasie przygotowywał się do swych prac bardzo sumiennie wśród stołecznych bibliotek i archiwów, a jeśli zachodził na pogawędkę o rzeczach wspólnie miłych, to tylko do poważnego „ojca Wincentego” (ś. p. W. Korotyńskiego), do Pługa, Podczaszyńskiego, a najczęściej do zasłużonego Bartoszewicza „na Dynasy”. „Ten — mawiał — radami swemi i wskazówkami w młodej a niedoświadczonej jeszcze głowie największy ład mi zaprowadził”.

W tych latach p. Zygmunt myśl głównie miał skierowaną na etnografię i w tym kierunku, o ile mu studia uniwersyteckie pozwalały, nieustannie pracował. Życie jednak w Warszawie w towarzystwie Beyera, Zawiszy i Podczaszyńskiego, ocierać się pod Wawelem o Łuszczkiewicza, i nie stać się jak oni starożytnikiem było czystem niepodobieństwem. Tedy i pan Zygmunt zarówno jak i oni w grobach i ruinach zaczyna szukać najdroższych pamiątek, i okazując żywe zainteresowanie dla tylko co powstającej nauki, pozostaje jej wiernym adeptem aż do końca życia.

W r. 1867, młody nasz badacz na dalsze studia uniwersyteckie podąża do Krakowa. Odwieczne a tak pełne drogich pamiątek mury grodu podwawelskiego, oddawna go ku sobie nęciły. Wrażenia uszczęśliwionego młodzieńca zaraz na samym wstępie odbijają się w licznych listach, kreślonych do Bartoszewicza.

Skromny, poważnie myślący a garnący się do nauk młodzieniec wkrótce zwraca na siebie uwagę takich mężów literatury i wiedzy jak: Pol, Szujski, Majer, Julian Dunajewski, Władysław Łuszczkiewicz, Baraniecki i w. in. Wszyscy oni darzą go życzliwością, nie skąpią rad i przyjmują w swych domach.

Nieodżałowany przyjaciel młodzieży, Dunajewski, (któremu niejedno również zawdzięcza piszący te słowa), będąc podówczas rektorem uniwersytetu, z wielkim uznaniem aprobuje pierwszą obszerniejszą złożoną przez pana Zygmunta pracę w rękopisie p. n. „Obchody weselne” i poleca ją wytlóczyć w drukarni uniwersyteckiej.

Najrzewniejsze wywiózł młody nasz badacz wspomnienia z tych chwil miodowych i słonecznych, jakie z Polem przepędził.

Sędziwy, nad grobem już stojący wówczas, nieśmiertelny twórca „Pieśni Janusza” mimo kalectwa był zwykle pogodny, łagodny jak dziecko i dla młodych, z którymi lubiał bardzo obcować, jako ziemia miłościwy. Gloger z wielką czcią dla ucałowania rąk wieszcza zwykle doń z niektórymi kolegami w święta i niedziele zachodził. Wyróżniał Pol sympatycznego młodzieńca i zazwyczaj go „miłym podlasiakiem” nazywał. Mądre były jego rady, jego mowy, w których serce nieraz wysoko podnosił, i tym jedynym, sobie tylko właściwym językiem, zagrzewał młodzież do czynu. „Wiedźcie — powtarzał, — że ze świata miłczkiem schodzić się nie godzi! Ojczyzna, jako barć opróżniona, wnet spróchnieje, gdy nie będziecie znosić do niej swego miodu. W tej pracy zbożnej, szeroko



panowie sięgajcie, ale twarz miejcie zawsze zwróconą do Boga!”

Po ukończeniu uniwersytetu, rzewne było pożegnanie, łzami oblane błogosławieństwo: „Niech cię Bóg w łasce dla Ojczyzny chowa, z Bogiem i w Bogu szczęśliwa ci droga!”

Snadź doszły do uszu Boskich te barda ociemniałego słowa!...

W parę lat potem w wilię wyjazdu z podwawelskiego grodu, z wycieczki, odbytej z Glogerem do Tęczyna i Czarnej, przywieźliśmy trzy duże, z liści dębowych i nieśmiertelników uwite wieńce. Nazajutrz z samego rana, dwa z nich nakryły owe brzeżne sarkofagi w krypcie wawelskiej, trzeci złożony był osobiście przez Glogera na pobliskiej Skalce na grobie Wincentego Pola...

Z chwilą opuszczenia murów uniwersyteckich Gloger wstępuje w drugi okres życia, w którym zaczyna rozwijać coraz większą działalność, nie tylko w zakresie etnografii i starożytnictwa, ale jednocześnie na polu ekonomiczno-społecznym i oświaty ludowej.

W okresie tym na człowieka i jego czynny patrzyłem już własnymi oczyma, raz wraz bowiem łączyły nas wspólne poszukiwania i wycieczki, wspólne badania i coraz liczniejsze do przyszłej mapy Litwy zamierzchłej odkrycia.

Nie myślę tu rozpowiadać, co Gloger w tym okresie napisał, ogłosił, wszak o tem krytyka już wypowiedziała swe ostatnie słowo, a od wyliczania długiego szeregu prac zwalnia mnie tylko co w najnowszym „Roczniku” Tow. Krajozn. bibliografia na schwał obszerna i z wzorową sumiennością podana.

Zaiste, z radości aż dusza rośnie, patrząc na Estreicherową placówkę, zajęta przez tak umiejętnego kontynuatora...

Taka praca, „takie—jak mawiali starzy—karty, warte wina kwarty!” Za nie cześć niezmordowanemu Stefanowi Dembememu, cześć niewysłowiona!

W r. 1872 mieszkałem o 6 mil niespełna od Jeżewa, na samej granicy dwóch grup etnicznych—małoruskiej i polskiej.

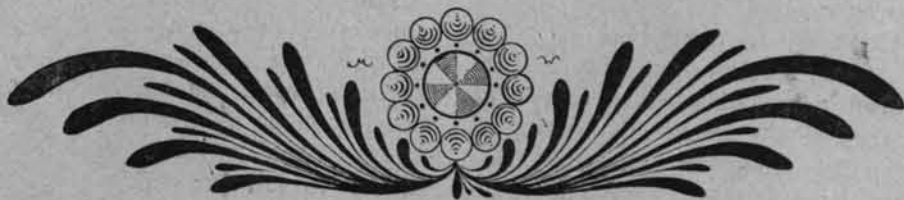
Ciekawy i towarzyski Gloger, jak potem tak i w tych latach, miał na wszystko czas. Karłowicz od ludzi i stosunków uciekł ze wsi, Gloger wciąż nowe zawierał. Nie ubiegło lat dziesięć, a znał już nietylko wszystkich na Litwie wybitniejszych ludzi, ale i w Inflantach i na Żmudzi Świętej. W błędzie byłby, kto by sądził, że znajomości te wymagały tylko noworocznej oraz imieninowej wymiany biletów. O nie!—Całkiem co innego mówią stopy niezliczone listów. Rozejrzawszy się w nich bowiem, widzimy jak na dłoni, że Gloger, mieszkający na samem pograniczu Litwy i Korony, był żywym, że tak powiem, łącznikiem między temi dzielnicami byłej Rzeczypospolitej. Zestosunkowany, jak nikt inny, z Warszawą i Krakowem brał na swe barki najrozmaitsze prośby, polecenia, i nie wyręczając się nikim jak najchętniej je spełniał. Aż ómi nam się w oczach z odczytywania niezliczonych relacji w t. z. „raptularzach”, od tych nieustannych szturmowań jeśli nie do Akademii, pp. wydawców albo redaktorów, to znów do najrozmaitszych instytucji oświatowych lub filantropijnych, gdy trzeba było wyjednywać zapomogę albo stypendyum dla wdowy nieszczęśliwej lub biednej sieroty.

A o tej działalności Glogera z pewnością nie wielu wiedziało. Cześć mu za to i podziw, że podolać mógł wszystkiemu przy tylu zajęciach!

O wiośnie w r. 1872 ruchliwy nasz archeolog puścił się na poszukiwania w okolice Kalisza, (gdzie mieszkał druh jego serdeczny, poeta i profesor tamtejszego gimnazjum—znany „Stefan z Opatówka”—Giller,) stamtąd w Płockie, i zatrzymując się w okolicy Torunia, Poznaniu i Krakowie, obciążony nie bylejakimi skarbami archeologicznymi, uszczęśliwiony powrócił do domu.

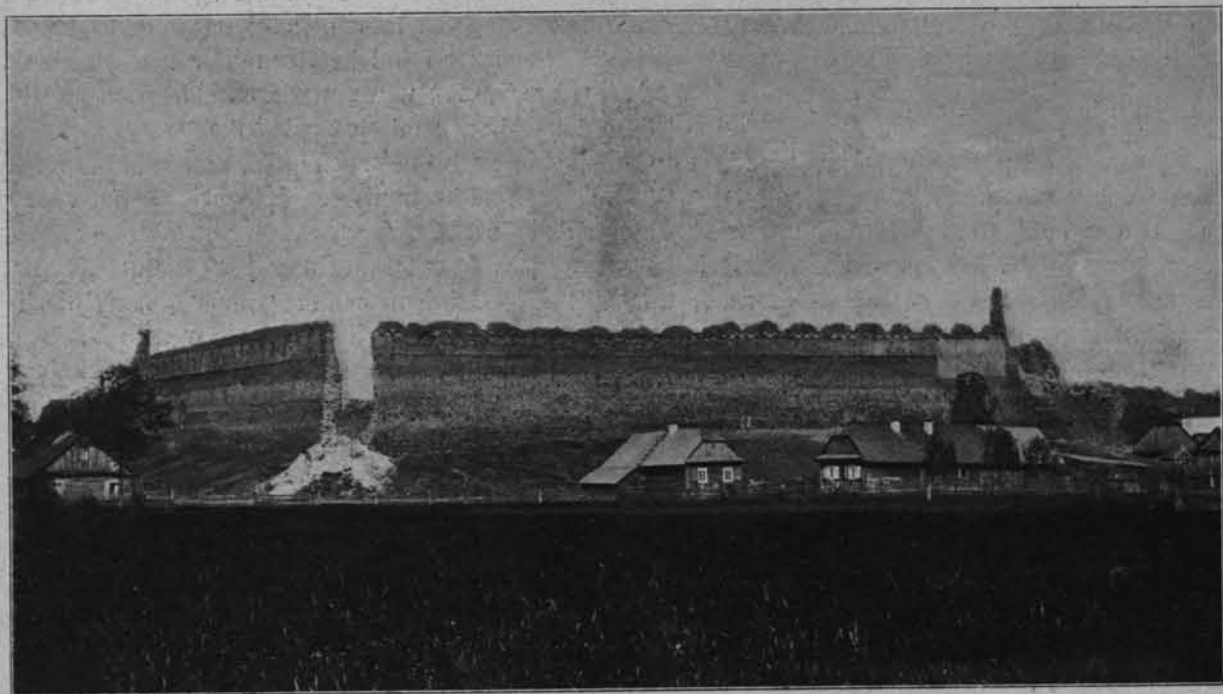
C. D. N.

M. Federowski.





DWORY, ZAMKI i PAŁACE.



38. ZAMEK W LIDZIE

fol. ze zbiorów W. Szukiewicza w Naczy

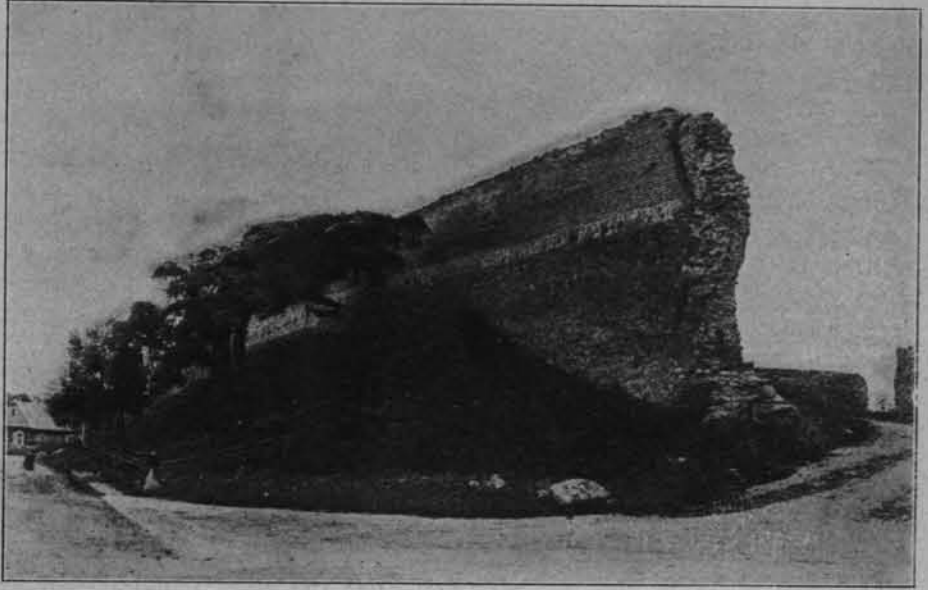
Ruiny zamku Gedyminowego w Lidzie przedstawiają się dziś w resztkach murów obwodowych, zakreślających prostokąt na podstawie niewysokiego wzgórza, wznoszącego się nad bagnistą kotliną, mającą łączność z rzeką Lidzina. Bagno owo, to część fosy, otaczającej niegdyś wzgórze. Ściany od dołu aż do góry murowane są z kamieni polnych. Z zewnątrz były w części tynkowane, w części zaś futrowane cegłą czerwoną, jak to widać na załączonej fotografii. Grubość ścian, imponujących i dziś jeszcze swoim ogromem, wynosi do 2,5 metra. Przed laty kilkudziesięciu były one o wiele wyższe i świeciły jeszcze resztkami baszt o trzonie kwadratowym, wznoszących się w węglach północno-wschodnim i południowo-zachodnim. Obecnie baszt tych niema ani śladu, a nawet cały południowo-zachodni węgiel runął, otwierając obszerny wyłom. U góry ściany południowej zachowały się jeszcze strzelnice o konturach łukowatych, w trzech rozmiarach, a niżej widzimy otwory z kawałkami zachowanych gdzieśkolwiek belek dębowych, na których wspierały się krążanki. W ścianie wschodniej była brama wjezdna, z której pozostał tylko duży, nikształtny otwór i furta dla pieszych, cała prawie zasypana gruzem. Bramę flankowała baszta, widoczna na fotografii ze strony prawej. Ściana ta, jako frontowa, miała piękny ornament z fryzu łukowego, romańskiego, który wykonano z cegły czerwonej,

pięknie odbijający od białego tynku. Inne ściany ozdoby tej nie posiadały.

Wewnątrz prostokątu murów obwodowych żadnych śladów budowli nie pozostało, cały bowiem plac, mierzący wzdłuż 85.1 m., a na szerokość 78 m., został przed laty zrównany dla celów wojskowych. Wogóle można powiedzieć, że do ostatecznej ruiny zamku lidzkiego bardziej przyczynili się ludzie, niż wszystko niszczący czas. A przyczynili się do tego nie tylko przez złą wolę, lecz nawet mając względem ruin najlepsze zamiary. Tak więc po „uporządkowaniu” wewnątrz nastąpiło częściowe rozebranie murów, zwłaszcza północnego i zachodniego, zarządzane przez jednego z „isprawników”, jakoby w imię bezpieczeństwa publicznego. Nakoniec, przez źle zrozumianą gorliwość, podmurowano i zgładzono ściany, zarównywuając nawet framugi łukowe, znajdujące się w ścianie północnej od wnętrza, i wszystko to zalano z wierzchu cementem. Czy pomysł ten można nazwać szczęśliwym — niech to osądzą specjaliści. Mnieby się zdawało, że tak konserwować nie wolno. Można by jeszcze darować to, że w ten sposób zeszcpeciono mury, ale najgorzej, że taka skorupa, nie zabezpieczając od przenikania wilgoci do wnętrza murów, powstrzymuje jej wyparowywanie, przez co przyspiesza proces zniszczenia. To jest już stwierdzone, i nigdzie w taki sposób murów nie konserwują.



Dzieje z a m k u
lidzkiego są ściśle
związane z przejścia-
mi, jakich doświad-
czał kraj cały. Miał
więc chwile swojej
światłości, a nastę-
pnie upadku. Założo-
ny według Strykows-
skiego w roku 1323
przez Gedyminą, ni-
gdy jednak nie był
stałą rezydencją pa-
nujących. Przebywał
tu tylko czas jakiś
w roku 1422 Włady-
sław Jagiełło z mło-
dą małżonką Zofią,
Witoldem i całym
swoim dworem.



SOSNY POD ZAMKIEM LIDZKIM

fot. ze zbiorów W. Szukiewicza w Naczy.

Później mieszkał tu Hadży Girej, zanim go tatarzy krymscy nie powołali do siebie na chana. Nakoniec Aleksander Jagiellończyk, w zamku lidzkim złożony śmiertelną niemocą, w roku 1506 tu testament swój pisać kazał. Czasy Jana Kazimierza odbiły się niszcząco na zamku lidzkim, ostatecznego zaś zburzenia dokonali szwedzi za Karola XII w roku 1710. Od tego czasu zamek z upadku się nie podniósł.

Na zakończenie muszę wspomnieć o dwóch legendowych sosnach, rosnących na północnym stoku usypiska gruzu przy ścianie obwodowej zamku. Są to drzewa bardzo stare, chociaż z powodu

warunków nie sprzyjających wegetacji nie wysokie i stosunkowo nie grube, jakby przysiadłe do ziemi, przyczem wszystkie gałęzie pochylają się ku południowi. Legenda opiewa, że wyrosły one na grobie franciszkanów, pomordowanych przez pogańskich litwinów. Lud wierzy, że gdyby te drzewa zaciąć, toby krew z nich nie smoła pociekła. Rozumie się, nikt tego nie próbuje, i legenda utwierdza się w umysłach ludu, na czem najlepiej wychodzą owe sosny, rozrastając się i rozpościerając coraz bardziej korony swoje nad murami.

Wandalin Szukiewicz.



Z podróży na Pomorze.

13)

Ziemia nasypana przed bramą, jak to zwykle bywa, wkleśła pod własnym ciężarem tak, iż pomiędzy wieżą a darnią usypanego pagórka utworzył się wielki otwór. Jeden z wojowników duńskich spostrzegł to i osnuł na tem śmiały plan czynu. Prosił swych towarzyszy, by mu byli pomocni w dostaniu się do tej szczeliny, zapewniając, że jeśli to przy ich pomocy uskuteczni, to następstwem będzie zdobycie grodu, i że on im utoruje drogę do zwycięstwa. Gdy się go pytali, jak mu pomódz mogą, kazał im rzucić lance w darnię na środku pagórka, by po lancach jak po szczeblach drabiny wylazł na górę.

Tak więc dostał się tam, a w zakleśnięciu owem był ze wszech stron broniony od pocisków nieprzyjaciela. Zażądał teraz słomy, by ogień podpalić. Na pytanie, czy ma czem ogień wzniecić, odpowiedział, że posiada krzesiwo, a prosił ich tylko, by stali w pogotowiu, gdy ogień zaplonie, i umożliwili mu zejście z wału. Gdy szukali paliwa, przypadek im je nastreczył. Właśnie przejeżdżał wóz ze słomą, przeznaczoną dla obozu. Rzucili się nań zaraz. Jeden rzucił drugiemu wiązki, które lancami podawano wojownikowi, będącemu na górze. W krótkim czasie napełnił on dziury słomą. Ponieważ na wieży nie było



nikogo, więc można było bez przeszkody pod nią przystąpić, zwłaszcza, iż załoga nic o tem nie wiedziała. Nagle pokazuje się ogień, obejmując wieżę, która zaczyna się palić. Rujnianie widząc buchający dym, tak się strwożyli niespodzianie grożącym niebezpieczeństwem, iż zrazu nie wiedzieli, czy mają ogień gasić czy też walczyć z nieprzyjacielem. Gdy przyszedli nieco do siebie, zwrócili się z całą siłą przeciwko ogniewi. Duńczycy zaś, jedni usiłovali przeszkadzać gaszeniu ognia, drudzy zrowu starali się go podniecać. Oblężeni poczęli w końcu przy braku wody lać mleko w płomienie, które tem bardziej się wzmagaly, im więcej lano mleka. Na krzyk, jaki z tego powodu powstał, wyszedł król z obozu, by się dowiedzieć, jaka tego przyczyna. Ze zdziwieniem ujrzał, co się stało. Nadszedł i Absalon. Kazano podniecać pożar. Płomienie buchające wysoko, znajdując żer w deskach i słupach, ogarnęły najprzód podwaliny wieży, następnie dosięgły jej szczytu i niedługo potem zamieniły znajdującą się tu świętą stanicę i inne znaki kultu Swantowita w popiół. Gdy się król o tem dowiedział od Absalona, wydał za jego poradą rozkaz wojsku, by zajęło stanowiska na wszystkich stronach grodu, sam zaś usiadł na stolcu przed obozem, by przypatrzeć się walce. Pomorzanie pod wodzą swych książąt, Kazimierza i Bogusława, walczyli w oczach króla duńskiego z wielką pobożnością. Z załogi grodu padło dużo ludzi. Niektórzy z obrońców, gardząc śmiercią, rozwinęli w boju taką zaciekłość i wytrwałość, iż padli dopiero, gdy ogień pożarł wierzchnią, drewnianą część wału. Skakali w palące się zgłiszczu swej twierdzy. Przejęci gorącą miłością dla ojczyzny grodu woleli razem z nim zginąć, aniżeli przeżyć jego upadek. W tak rozpaczliwym i strasznym położeniu zawołał ktoś z obecnych donośnym głosem z wału, iż chce się rozmówić z Absalonem, który skinął wołającemu, by udał się na dalsze, spokojniejsze miejsce wału, wolne od wrzawy i walki, a gdy to uczynił, zapytał się go Absalon, czy chce mu zrobić jaką propozycję. Na to zażądał ten, pomagając swej mowie ruchami rąk i ciała, by duńczycy zaprzestali na pewien czas walki, dając załozde czas namyślić się, czy ma się poddać czy dalej walczyć. Absalon odpowiedział, iż to się stać może tylko wtedy, jeśli oblężeni zaprzestaną gasić ogień. Kiedy ten warunek przyjęto, przedłożył Absalon żądanie królowi, który przywołał sprzymierzonych książąt, pytając ich o radę. Absalon był za tem, by się zgodzić na propozycję słowian. Król się zgodził, przyjmując grodzian jako poddanych pod następującymi warunkami: rujnianie mają wydać posąg bożyszczu i cały skarb świątyni, pojmany zaś w niewolę chrześcijan puścić na wolność

i oddać ich bez wykupu; wreszcie muszą przyjąć we wszystkich obrzędach religię chrześcijańską na wzór duńczyków i mają ziemię, będącą własnością bożyszczu, obrócić na potrzeby duchowieństwa chrześcijańskiego; także, ilekroć byłaby tego potrzeba, pomagać duńczykom w wyprawie wojennej i nigdy nie sprzeciwiać się rozkazowi króla. Prócz tego mają od każdego radła płacić daninę po pięćdziesiąt srebrnych feników, a ile radel, tyłu dać zakładników na poręczenie, iż zobowiązania będą dotrzymane...

...Nazajutrz Esbern i Suno wzięli się na rozkaz królewski do niszczenia posągu Swantowita. Ponieważ bez siekiery powalić go nie mogli, więc zerwali dywany, oddzielające wewnątrz najświętszego miejsca, przywołując sługi, by zrąbali posąg. Tymczasem lud zgromadził się licznie w okolo świątyni, oczekując, że Swantowit sprawców tak obrażającego bezeceństwa zgromi w swoim gniewie; wtem oparł się o ścianę. By go uprzętać, każe Suno zwalić ową ścianę. Z ogromnym hukiem pada teraz bożyszczu na ziemię... Pozdzierano purpury ze ścian świątyni, pozabierano drogocenne rogi i inne przepyszne rzeczy. Mieszkańcom grodu kazano potem powrozami wywlekać posąg ze świątyni i grodu. Lecz ci nie śmieli spełnić tego rozkazu, więc poruczono to jeńcom i obcym. Lud zawodził gorzkie żale i złorzeczył nieszczęściu. Posąg wywleczono do obozu, gdzie zbiegowisko żołnierzy dziwowało mu się wielce.

Reszta dnia zesła na przyjmowaniu zakładników. Do grodu posłano pisarzów księżących, by ci jako duchowni przyzwyczajali lud do chrześcijańskich obrzędów i pogański jego zmysł niszczyli. Gdy się zaczęło zmierzchać, przyszedli kuchciki z obozu z siekierami do posągu i porąbali go w kawałki, używając na drzewo do kuchni. Świątynię spalono. Z drzewa twierdzy zbudowano kościół. Następnie wyznaczono dzień dla wydania skarbu świątyni. Prócz tego łupieżstwa duńczycy łupili jeszcze wszystkich mieszkańców do ostatniej nitki tytułem daniny, nałożonej na nich od każdego radła. Helmold w swej kronice podaje, że Przybysław meklenburski w porozumieniu z biskupem Absalonem i królem Waldemarem ustanowił fałszywą wagę dla odbioru znoszonej daniny, oszukując rujnian. Kuntzow, pisząc o ucieczce z Rujny księcia Przybysława, którego duńczycy odprawili z kwitkiem, nie dając mu nic z całej zdobyczy, podobnie jak książętom pomorskim, dodaje: „Tak Bóg karze oszustwo i chytrość, gdyż chociaż rujnianie nie byli chrześcijanami, przecież nie chciał on, żeby ich chrześcijanie nad miarę oszukiwali.”

Koreniczan tak zatrwożył ten upadek Arkony,



że król Tetisław z bratem Jaromirem i pierwszymi ze szlachty poddał się duńczykom, zawierając z nimi układ na tych samych warunkach, jakie przyjęła Arkona. Absalon, trzymając na swoim okręcie króla, Tetisława i innych dostojników rujniańskich, udał się potem tylko z Jaromirem do Korenicy, polecając bratu swemu Esbernowi, by rujnian gościł i trzymał na okręcie do jego powrotu. Żołnierzy miał tylko trzydziestu przy swoim boku. Na powitanie Absalona wyszli koreniczanie w sile 6000 zbrojnych ludzi i ustawili się wzdłuż drogi. Absalon, gdy wkroczył do grodu, doznał dobrego przyjęcia. Gród posiadał ludność nadzwyczaj liczną. Dom stał przy domu, a były one trzypiętrowe, zbudowane na silnych podwalinach. Szczupłe mieszkania znajdowały się jedno przy drugim, a wszystko było tak ściśnięte i zwalone na kupę, że kamienie wypuszczone z procy nie byłyby znalazły wolnego miejsca do opadnięcia. Z tego widzieli duńczycy, że koreniczanie musieli się poddać, gdyż nie byłiby mogli wytrzymać oblężenia. Pierwszą czynnością Absalona w grodzie było, jak donosi duński kronikarz, Saxo Grammaticus, z którego opisu czerpię rzecz niniejszą, że słudzy jego najprzód zrabowali w świątyni kosztowności przedśionka, potem pozrywali zasłony wewnątrz niej. Teraz ukazał się oczom Rujnowit. Jaskółki zbudowały gniazda pod jego brodą i pozostawiły dużo kału na jego piersiach. Ósmy miecz, który dzierżył w prawicy, był tak silnie cwiekami przytwierdzony, iż musiano odbić rękę, by miecz dostać. Posąg był tak wielki, iż Absalon, spiąwszy się na palce, mógł za ledwo berdyszem, który zawsze nosił przy sobie, dostać jego podbródka. Robota posągu była pospolita. Nie było w nim żadnego wdzięku, owszem, formy jego były brzydkie. Tymczasem duńczycy dobierają się ku największemu przerażeniu grodzian siekierą do nóg boga. Gdy te odbito, balwan z ogromnym trzaskiem spadł na ziemię. Zniszczeniem posągu nie skończono dzieła. Zgraja żołnierzy wzięła się do Porewita,

w końcu do Porenuca, mających osobne świątynie. Słudzy uprzętnęli siekierami i te posągi, które na rozkaz Absalona miano spalić w obrębie grodu. Lud począł go błagać, by zaniechał tego przedsięwzięcia, gdyż w ciasnym grodzie nie ma na to miejsca. Gdyby się tylko jeden dom zajął, z pewnością splonęłyby wszystkie. Odrzekł na to, by lud posągi wywłócił poza obręb grodu, lecz ten wzbraniał się uczynić tego z bojaźni przed karą bogów. W końcu musiano wywlec posągi, a Sweno, by dobitniej okazać pogardę dla bogów, włożył wobec ludu na posągi, kopał je nogami i opluwał, co zgrozą nadzwyczajną przejmowało widzów. Absalon tymczasem poświęcił w polu trzy cerkwiszczą i wrócił nad wieczorem do Korenicy, skąd, uporawszy się zupełnie, udał się z Jaromirem do swoich okrętów.

Następnego dnia przystąpili pisarze i spowiednicy w kapłańskich ornatach do swego urzędu i „wcielili”, jak się wyraża Saxo Grammaticus, tę ziemię przez chrzest do związku łaski boskiej. Tego dnia odebrano też zakładników. Następnie na kilku miejscach wzniesiono kościoły.

Pomorscy książęta sądzili, że Tetisław będzie pozbawiony swego królestwa i że oni otrzymają w nagrodę za użyzoną pomoc w wyprawie jego dzierzawy. Tak się jednak nie stało, i to ich dotknęło niezmiernie. Zażądali pozwolenia, by się mogli cofnąć. Przyjaźń ich zamieniła się w nienawiść, z czego później wywiązała się długa wojna pomiędzy nimi a duńczykami.

Wieczorem przybiły okręty duńskie do jednej z wysep w bliskości stałego lądu. Tam przywieźli rujnianie królowi duńskiemu siedem dużych skrzyń, napelnionych skarbami, poświęconymi Swantowitowi.

Król oznajmił, iż teraz wyprawa skończona. Z upadkiem Arkony i Korenicy straciła rodzima samoistość słowian bałtyckich ostatni posterunek. Na świętej wyspie trwała ona jako w mało przystępnej twierdzy najdłużej.

D.N.

G. Smólski.



Wejście na Mont-Blanc (4810 m.) ¹⁾

W dniu 15 sierpnia 1910 roku po południu — po rozstaniu się z pięknymi i imponującymi krajobrazami wschodniej części Alp Walijskich — z Monterosą i Matterhornem na czele, opuszczaliśmy¹⁾ szeroką dolinę Rodanu, podążając do czę-

ści zachodniej tejże grupy, do królestwa władcy gór — Mont-Blanc. W Martigny przesiadamy się do wagonu kolei elektrycznej, który unosi nas do doliny Trientu. Droga biegnie po urwistych zrazu i stromych zboczach doliny z głęboko wciśniętym

¹⁾ Uczestników wycieczki było czterech: pp. W. Kręcki, A. Ojrzyński, dr. T. Ostrowski i niżej podpisany.



w nie potokiem. Z niepokojem śledzimy niebo, które dotychczas w ciągu tygodnia, obdarzało nas piękną pogodą, a teraz zaczyna się lekko zachmurzać. Wznosimy się na wyższe piętro doliny, mijamy malownicze wioski Salvan, Finhaut i stajemy w Chatelard — nad granicą francuską. Po dłuższym postoju kolej pnie się coraz wyżej przejeżdżamy przez most graniczny, i oto już znajdujemy się na ziemi francuskiej. Na następnej stacji Valoreine przesiadamy się do wagonu fran-



WIDOK Z CHAMONIX NA MONT-BLANC (widoczny w kierunku słupa na prawo),
DOME DU GOUTER I AIGUILLE DU GOUTER.

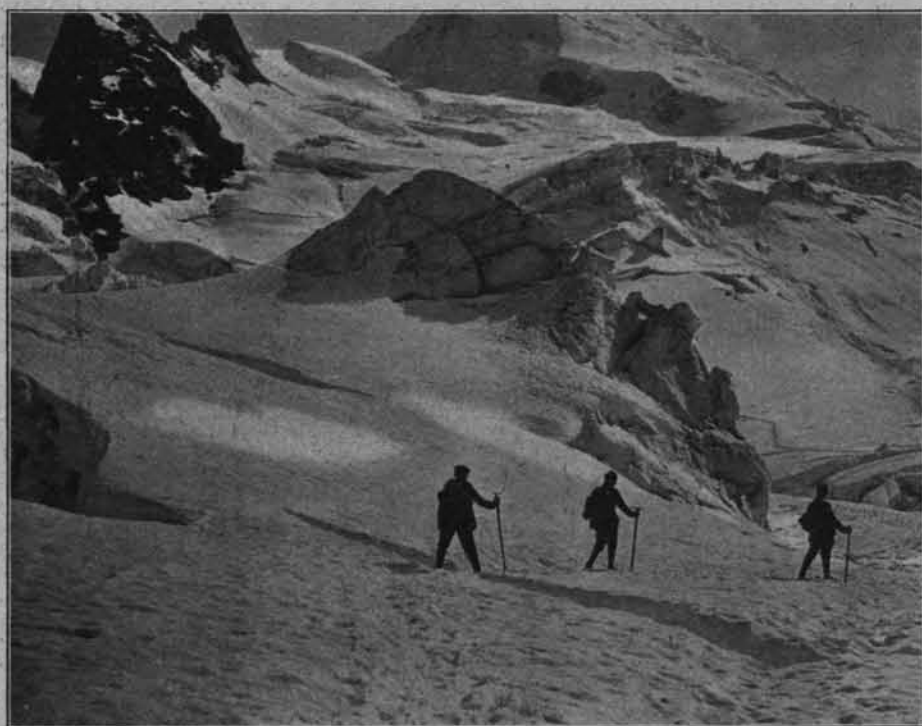
fot. J. Jaroszyński

cuskiego i podążamy ku przełęczy Col des Montets, niecierpliwie oczekując otwarcia się widoku na grupę Mont-Blanc. Zagłębiając się w długi tunel i wyjeżdżamy z niego w dolinę Arwy. Oczy nasze

biegną ku szczytom, lecz niestety chmury posiadły je całkowicie. „Igły” nie dają się podziwiać, a Mont-Blanc — przedmiot naszych westchnień — do samych stóp nurza się w chmurach; jedynie

lodowce wysuwają ku nam swe szare języki. Wreszcie wjeżdżamy do Chamonix i wkraczamy w rzeźnię oświetlone i ożywione ulice miasteczka, co jednak nie wpływa na rozproszenie naszych niewesołych myśli. Z trudnością wyszukujemy miejsca w hotelu i udajemy się na spoczynek.

Następnego dnia warunki pogody nie polepszyły się. Wobec tego porzucamy nasz pierwotny zamiar wejścia na Brévent (2525 m., 1508 m. nad Chamonix), położonego vis-à-vis Mont-Blanc po drugiej stronie doliny, skąd najlepiej oglądać majestatyczną



NA COL DES BOSSONS w pobliżu JONCTION.
Na lewo u góry — GR. MULETS

fot. J. Jaroszyński

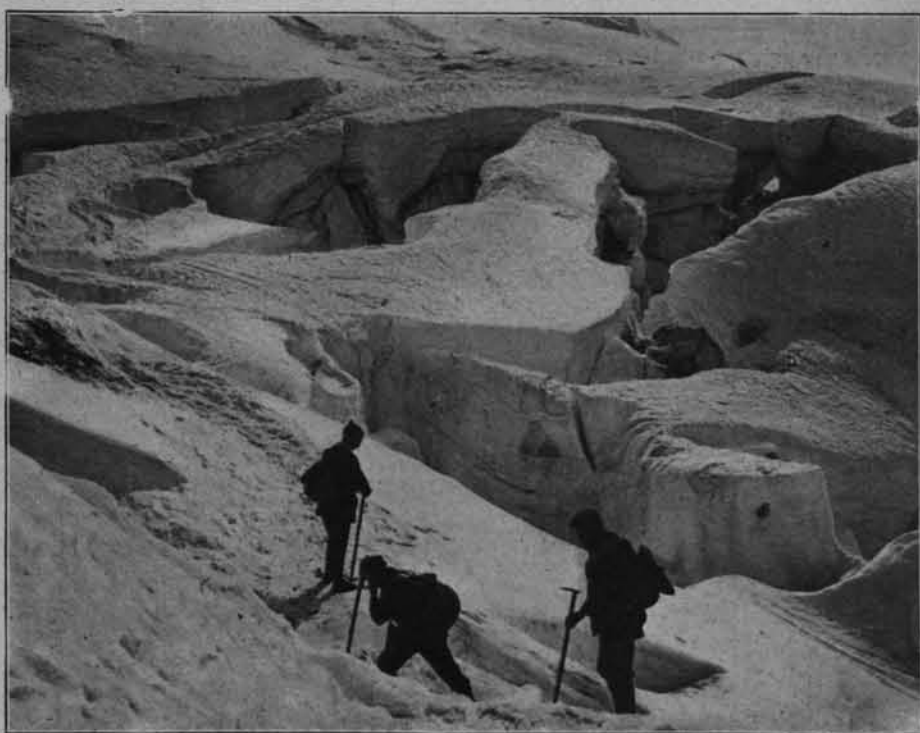


fot. Jaroszyński

NA „JONCTION”—SZCZELINY

panoramę potężnych szczytów z Mont-Blanc pośrodku i stąd całą drogę na niego widać jak na dłoni. x żalem rezygnujemy z tego widoku, nie chcąc jednak marnować czasu, robimy jednodniową wycieczkę na słynny lodowiec „Mer de Flane”. Prowadzi doń kolej zębata, jedna z najdawniej zbudowanych, o pociągach, poruszanych parą, doprowadzona do Montanvert (1910m.). Zastajemy tu przed ogromnym hotelem tłumy osób, przyglądających się położonemu w dole lodowcowi i nieco odsto- niętym z chmur igłom. Mnóstwo „przewodników” narzuca się amatorom „silnych” wrażeń do sprowadzenia ich na lodowiec, ukazywania i przechodzenia szczelin, nie przedstawiających zresztą żadnego niebezpieczeństwa. Bardzo

niewiele jednak osób zapuszcza się dalej w górę lodowca, np. do „Moulin”, do miejsca zlania się lodowców: „glacier du Tacul” i „de Leschaux”, lub też do „Jardin” (2997 m.), położonego wśród lodowca „gl. de Taldre”. Tu lodowce są nader interesujące i „igły” zblizka przedstawiają się w całej okazałości i igrozie. Widok gór, śniegów i lodów wprawia nas w dobry humor, pomimo, iż pogoda nie jest lepsza i deszcz kilkakrotnie zapędza nas pod kamienne stoły, licznie rozrzucone na lodowcu „de Leschaux”. Wreszcie — dobrze, że już w hotelu na Montanvert — łapie nas gwałtowna burza z ulewą i piorunami. Tem niemniej jesteśmy dobrej myśli, spodziewając się po tej burzy zmiany



fot. J. Jaroszyński

NA „JONCTION” LODOWCÓW „DES BOSSONS” I „DE TACONNAZ”



pogody. Jakoż rzeczywiście nad wieczorem doliny zaczynają się oczyszczać z mgieł, chmury skłębiają się i przeredzają. Wobec tego pośpieszamy z powrotem do Chamonix i energicznie kompletujemy nasze przybory, ubrania i zapasy. Gdy wieczorem wracamy do hotelu — olśniewa nas widok w górze: niebo gwiaździste, czarne kontury ostrych igieł¹⁾, górne lodowce i śniegi lśniące fosforycznie, biała piramida „Aiguille du Goûter” i okrągła kopuła „Dôme du Goûter”, a na końcu wsunięty w głąb, wyraźny chociaż odległy — Mont-Blanc. Wyruszenie jutro rano jest postanowione.

Następnego więc dnia, po załatwieniu formalności z wysyłką bagaży (do Medyolanu), około godziny 7-ej rano ruszamy w drogę. Poranek mamy prześliczny. Przejrzyste powietrze pozwala nam się teraz dobrze przyjrzeć królowi Alp. Wierchołek jego szeroki o pozornie łagodnych spadkach wydaje się nam czemś dalekiem, potężnym i nie-doścignionem. Troska zasępia nam czoła, czy zdołamy tam dojść, wznieść się do takiej wysokości — aż 3800 metrów nad sobą. Trudne to się nam wydaje, lecz coś ciągnie zarazem. Widzimy dokładnie w polu lodowem w górze czarne ostre skałki „Grands Mulets” — prawie pod samym już szczytem Mont-Blanc; jest to jednak złudzenie, gdyż w istocie są one dopiero na połowie drogi. Tam właśnie mamy dziś zdążyć na noc do schroniska.

Wyraźne drogowskazy i znaki przeprowadzają nas na lewy brzeg Arwy do lasu. Tu w cieniu pachnących smreków po wygodnej ścieżce z łatwością posuwamy się do góry. W drodze dopędzamy karawanę, złożoną z kilkunastu robotników i tragarzy z linami, łopatami i narzędziami, przeznaczonemi, jak się dowiadujemy, do odkopania i odrestaurowania na szczycie Mont-Blanc obserwatorium Jansena, rozwalonego i zasypanego na początku lata przez burzę śniegową. Idąc coraz wyżej, z przyjemnością widzimy po przez drzewa, jak Chamonix opada coraz niżej i dolina coraz szerzej daje się obejmować wzrokiem. Z prawej zaś strony ścieżki coraz bliżej ukazują się nam strome, oślepiająco białe z wierzchu i seledynowe w załamach, zębate spiętrzenia lodowca „gl. des Bossons”. Nieco wyżej spotykamy się z dowodem niezmordowanej i nie znającej prze-

szkód pracy ludzkiej — z budową kolejki linowej powietrznej, która w niedalekiej przyszłości pozwoli wznosić się bez trudu do „Pavillon de pierre pointue” (2057 m.), t. j. o 1000 metrów nad Chamonix, a potem pono kolejka ta ma być jeszcze wyżej poprowadzona — aż do „Aiguille du Midi” (3843 m.). Jadącym na Mont-Blanc będzie to skracало drogę o 3—4 godziny.

Las stopniowo zaczyna się przeredzać i wreszcie zostaje za nami w dole. Ścieżka podnosi się coraz bardziej stromo, idzie coraz częściej w zakosy, i około godziny 10 rano stajemy w „Pavillon de pierre pointue” — wygodnie urządzonej oberży. Tu mamy połowę drogi, na ten dzień przeznaczonej, pozostaje nam bowiem jeszcze tysiąc metrów do góry. Myśl, że większa część drogi wypada na lodowce, o których nie wiemy, jakie nam niespodzianki gotują, nie pozwala nam długo odpoczywać. Ruszamy dalej po stromych skalistych zboczach „Aiguille de la Tour”, mając pod sobą na prawo w dole wciąż jeszcze mocno stromy „gl. des Bossons”. Słońce zaczyna dokuczliwie przypiekać, powodując większe nasze zmęczenie w tej części drogi. Dochodzimy do „Pierre à échelle” (2411 m.), do miejsca, w którym trzeba rozstać się ze skałami i zejść na lody. Urządzamy tu całonocny wypoczynek, rozkoszując się rozległym i pięknym widokiem. W dole pod nami ściele się cała niezastłonięta dolina Chamonix z błękitną wstęgą Arwy, z rozrzuconymi domkami i wioskami, nawleczonemi, niby paciorki, na białe sznury szos i nici ścieżek. Po przeciwnej stronie doliny wznoszą się prawie na równi z nami „Aiguilles Rouges” z najbliższą z nich „Brévent” (2525 m.). Zwracając oko w kierunku naszej dalszej drogi, mamy piękny widok na najszerszy w tem miejscu i całkiem przystępny „glacier des Bossons”, rozróżniamy dokładnie ostre kontury „Grands Mulets” i owo połączenie „Jonction” lodowców „des Bossons” i „de Taconnaz”, gdzie oczekujemy tyłu zapowiadanych przez przewodniki niespodzianek. Stąd okazalej też przedstawiają się „Dôme du Goûter” (4303 m.) i „Aiguille du Goûter” (3843 m.).

(D. C. N.)

Jan Jaroszyński.

¹⁾ Większość szczytów w grupie Mont-Blanc dla swojego ostrego kształtu nosi nazwę „aiguilles” (igły).





PUSZCZA MYSZYŃIECKA

3)

Pomimo owych piasków niezmiernych, pomimo biednej roślinności, pięknie tu jest jednak—swobodnie, szeroko i cicho. W jasnych, wesółych chatach mieszka lud otwarty i gościnnie; chętnie słucha on opowiadanych wiadomości i mozolnie, ciężko, myśl za myślą, mota je na swoją niestrudzoną chłopską pamięć. Nieraz, patrząc na zmarszczoną, spaloną przez słońce twarz, na siwe włosy starca, chciałoby się wejść zniecka poza te jasne prześwietlone oczy i dopiero stamtąd spojrzeć na ten świat cały: na żyta szare i piachy beźmierne i wyniszczzone, karłowate chojaki. Nie te to już ziemie, nie te już rzeki, nie takie drwa, nie te miast mieszkańce, — jeno chłop zawsze jednaki, uważny, skwapliwie patrzący z pod nawisłych brwi, potężny niebudzonym jeszcze życiem, drzemie, jak te lśniące skiby na słońcu.

Cudny był letni poranek, gdyśmy doszli do małej rzeczki, która przecina drogę pod kapliczką św. Jana. Odpocząwszy chwilę na pięknej łące, — zaczęło się już południowe gorąco, — wstąpiliśmy do pierwszej spotkanej chaty pobliskiego Zalesia. Uderzyło nas tu nadzwyczaj bogato przyozdobione wnętrze. Wszedłszy do izby, spostrzegliśmy przedewszystkiem w prawym kącie, w głębi wielkie łóżko, a ponad nim wzdłuż izby drążek zawieszony przyodziewkiem. W lewym



fol. K. Ruski

ZAGRODA KURPIOWSKA WE WSI ZALESIU

kącie przy drzwiach stała półka z talerzami i łyżkami; naprzeciw niej po tejże stronie cały kąt zajmował stół i wiszące nad nim obrazy. Obrazów było mnóstwo; przystrojono je zieleń i wystrzyganymi z różnobarwnego papieru wstążkami, które tu zowią firankami, a właściwie sirankami. Nad drzwiami wejściowymi i pod talerzami na ścianie licowej były rządami nalepione wycinanki, to jest koniki i tak zwane tutaj leluje; oprócz tego kawałek ściany nawprost drzwi między łóżkiem i oknem pokrywały dwa wielkie, pstro nakrapiane koguty, łbami obrócone ku sobie i otoczone szeregiem koników i leluj. Mimo najszczerzych chęci nie mogliśmy zdjąć tej grupy, gdyż kąt był za ciemny i wycinanki nalepione zbyt wysoko; zwróciliśmy więc tylko baczniejszą uwagę na rozkład mieszkania.

Podział wewnętrzny domów kurpiowskich ma pewne stałe cechy na całym obszarze puszczy. Chata prawie zawsze stoi szczytem do drogi, może być jednak obrócona do niej licem, a nawet tyłem; w tym ostatnim wypadku architektoniczny tył staje się licem i bywa przyozdabiany, jak w Stegnie, gankiem; wypadek to nader rzadki, którego w innych wsiach zupełnie nie widziałem. Jakkolwiek jednak i gdziekolwiek będzie stała chata, zawsze, jeżeli staniemy twarzą ku ścianie licowej, będziemy mieli po lewej ręce wielką izbę mie-



WNĘTRZE CHATY WE WSI ZALESIU

fol. K. Ruski



szkalną z jednym lub dwoma oknami, a po prawej daleko mniejszą sień z drzwiami. Nie budują więc tu chaty tak jak naprzykład w Krakowskim, gdzie sień, biegnąca na przestrzał, dzieli ją na dwie zupełnie równe połowy, lecz rozkładają dom na dwie części nierówne ze znaczną przewagą lewej, w której mieści się izba i alkierz. Co do wewnętrznego ozdabiania ścian za pomocą talerzy i nalepianek, dotychczas nie zauważyliśmy tego nigdzie; mieć jednak należy w pamięci, że przy nadzwyczaj ograniczonym czasie wstępaliśmy do chałup tylko parę razy, nalepianki zaś znaleźć można tylko w takiej chatce, w której mieszka młoda i zdolna dziewczucha, co nie może się zdarzać zbyt często. W Ostrołęce mówiono nam, że nalepianki w myszyńieckiej i kadzi-dlańskiej parafiach są bardzo rozpowszechnio-

ne; szczególnie wiele ma ich posiadać wieś Dylewo. Nasi gospodarze nie przywiązują do nich zbyt wielkiej wagi i chętnie darują mi parę sztuk, wzamian za co obdarzam ich kilkoma miedziakami na papier. Wogóle chętni i uprzejmi patrzą oni jednak z wielką nieufnością i pewnym strachem na aparat, i choć pozwalają fotografować, ale z zastrzeżeniem, aby od tego jakiej szkody nie mieli. Dopiero gdy aparat poszedł w kąt, humory wróciły i nagadaliśmy się na dobre; między innymi dowiedziałem się od gospodyni, że w Zalesiu wcale pisanek nie znają. Najbardziej jednak zaciekawia nas autorka owych koników, le-luj, siranek, podrastająca, mrukliwa dziewczucha. Przysiadamy się więc bliżej do furczącego kołowrotka i staramy nawiązać z nią rozmowę; napróżno jednak: dziewczyna albo milczy jak ściana, albo uśmiecha się półgębkiem. Snadź czuje w sobie talent! Na nasze szczęście matka-przyroda nie obdarzyła jej zbytnią urodą, to też pocieszamy się prędko i rozstajemy z lekkim sercem.

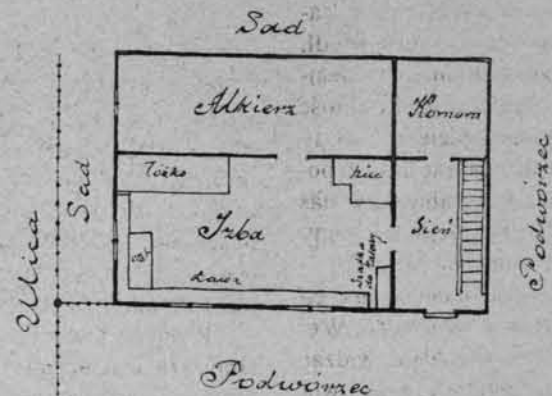
Kilka wiorst za Zalesiem spotykamy Wach, wieś z urzędem gminnym, gdzie licznie zebrani kurpie, znaczna ilość przywiezionego piwa, obecność

aż trzech strażników, a nieobecność ani jednej baby — same przez się mówią, że odbywać się tu muszą jakieś wybory. Jakoż przewidywania nie mylą, korzystamy więc z dobrej okazji, i podczas gdy stróże bezpieczeństwa publicznego pozwalają sobie na rzadką przyjemność przeglądania warszawskich paszportów, my zawiązujemy rozmowę z chłopstwem. Tutaj właśnie przyprowadzają przed nas kurpia w „kurpiach”, co dzisiaj stanowi już nader

rzadki wyjątek, bo wszyscy noszą buty z cholewami. Twarze za to bardzo ciekawe; wprawdzie pięknych a nawet urodziwych mało, ale są niektóre smagle, czarnobrewy, o nosie wązkim, zębach białych, o zarostie czarnym, zupełnie wygolonym, co nadaje ich szczękom ów charakterystyczny odcień sinej stali. Takie pojedyncze typy giną jednak wśród bardziej pospolitych i niepięknych;

ogolony zarost, fajka w ustach i niezwykła chudość oblicza przypominają naszych górali. Z fajką i tytoniem nie rozstaje się kurp nigdy, ale podczas gdy górale najczęściej sami je sobie robią, kurp kupuje gotową w Myszyńcu lub Ostrołęce. Wsacchi chłopci tutejsi, szczególnie jasnowłosi, niczem się nie różnią od przeciętnego mazura.

Za Wachem krajobraz zmienia się nieco, a między Siarczem Łąkami, Kadzidłem i Dylewem jest nawet dość ożywiony i zupełnie przypomina powiat ostrowski; jednak już wkrótce za Dylewem powracają piaski kurpiowskie, liche sosny i wilgotne, biedne, do pastwisk podobne łąki. W Siarczych Łąkach, czyli jak tu mówią, w Siercych Łąkach, do których prowadzi wierzbnymi wysadzona droga, zauważyliśmy piękne, zagajone obejścia, kilka ciekawie malowanych okiennic (na jednej był nieco zatarty żołnierz konny z datą 1831 r.) i pięknie rzeźbione drzwi z promieniem półsłońcem w górnej połowie.



PLAN CHATY KURPIOWSKIEJ

ryt. K. Ruski

(D. N.)

Kazimierz Ruski.



Z podróży Węgrów w Polsce.³⁾

Podróż przez Warszawę do Torunia

(Z notatek Marcina Csombora.¹⁾)

Lipnica. Piszą o Ulisiesie, że, wracając z Troi do swej ojczyzny, Itaki, unikał śpiewu syren morskich i uszy swoich towarzyszy woskiem zalepiał, żeby ich czar słodkiego śpiewu nie uwiódł. Myśmy się także w tej wsi znaleźli między ziemskimi syrenami, bo w Zielone Świąta cała ludność wsi zebrała się w jednym domu, gdzie i myśmy byli: tu dużo nieczystych osób, widząc nas, z pochlebstwami się do nas zbliżały i zabawiały nas śpiewem, ale żeśmy byli bardzo zmęczeni, udaliśmy się na spoczynek i tak uwolniliśmy się od nich.

Zakliczyn. Miasto, gdzie jeden z naszych towarzyszy odłączył się od nas i wrócił do Węgier. W mieście był pożar; my w gospodzie, widząc pachółków nieprzyzwoicie zachowujących się wobec dziewczek, a głównie, aby uniknąć znajomości z katem, zabraliśmy się w drogę, i wzięwszy ze sobą zapasy, wyszliśmy z miasta. W drodze padal deszcz, więc podróż nasza była smutna.

Tarnów. Od Preszowa osiemnaście mil, miasto księcia lubelskiego pięknie położone, choć domy są drewniane; za to posiada zegar; za miastem jest wielki klasztor, dalej zaś na górze wznosi się zamek. Miód tam jest przedni. Na obszarze miasta, nie wiem w jaki sposób, znaleziono kawałek złota, co doszło do wiadomości pana, który sądził, że tam można będzie kopać złoto, i z wielkim kosztem sprowadziwszy górników, na darmo podjął niezmierne trudy, tak, że wzbudzało to prawdziwy podziw; ale zysku jednak nie miał z tego na niuch tabaki. Myślę, że ani on, ani jego doradcy nie czytali książki Cardanusa De notis inveniendorum metallorum, bo w gliniastym gruncie nie trzeba było szukać złota, ale chyba...

Mówią, że w kościele miejskim jest słynny pomnik z kamienia, któremu podobnego niema w Polsce.

¹⁾ Marcin Csombor, ur. w r. 1585, był nauczycielem w miasteczku Szepsi (w komitacie Abauj blisko miasta Kassa (Koszyc), potem w Telkibánya. Pragnąc kształcić się dalej, w roku 1616 udał się do Gdańska gdzie przebył blisko dwa lata; stąd wyruszywszy w r. 1618, zwiedził Danię, Hollandyę, Anglię, Francję, Niemcy, Czechy i Polskę. Wróciwszy do Węgier w r. 1620, opisał swoje podróże w dziele: „Europa varietas”, które wydał w Koszycach. Przekład niniejszy dokonany jest z przedruku w dziele Szamota I. Regi magyar utazók Európában. Nagybecskerek, 1892.

Mielec. W tem miasteczku znaleźliśmy węgry przyjaciela, który, jak sądzę z Galszecs lub Nagymihaly pochodził; przyjął nas po ludzku i wieczorem ugościł polskiem winem.

Baranów, zamek z pięknymi gmachami, zbudowanymi na sposób saski.

Kiedy słońce świeci, człowiek nie może na nie patrzeć. W pobliżu rzędem kilka gospód, ale w nich gospodarz i gospodyni niepodobni do ludzi, bo sami zagłodzeni, nawet za pieniądze nic nam dać nie mogli. Jak zauważyłem, nawet w pożyciu małżeńskim nie było zgody, bo swoje jarzmo znosili, kłócąc się ciągle. W tej wsi ewangelicy mają piękny kościół, a szkoła posiada ładny gmach, ocieniony lipami.

Koprzywnica, miasto, w którym rozstałiśmy się z naszymi towarzyszami. Byliśmy tam w czasie zgromadzenia, a ponieważ nie znaleźliśmy drogi, pewien poczciwy człowiek polecił nas pewnemu mnichowi z Sandomierza; ten miał nas nie tylko oprowadzić po Sandomierzu, ale i dobrze przyjąć i pokazać starożytności. Trafiliśmy w naszej podróży do dobrego źródła.

Sandomierz (Sandomiria) z wielu klasztorami, w których mieszczą się białe i czarne mnichy; miasto ozdobne, ma ładne kollegium, w którym uczą jezuiti. Wtedy właśnie zaczęło się odbudowywać, bo całe miasto było spalone. Przypadkiem byliśmy tam w Boże Ciało, kiedy napływał zewsząd lud na procesye, tak, że w mieście było ciasno. Po długim dopytywaniu poszliśmy do gospody, gdzie niczem dobrem wprawdzie, ale pięknymi słowy przyjął nas stary gospodarz, który dawniej na Węgrzech u sławnego rodu Monachich służył za hajduka; wspominał o nich bardzo wdzięcznie i dopytywał się, czy jeszcze żyje ta rodzina, a kiedy opowiedzieliśmy, że panowie Mikołaj i Sebastyan Monachi dobrze się mają, bardzo się ucieszył. W całej Polsce nie widziałem nigdzie winogron, tylko tu w ogrodzie klasztornym było ich dosyć dużo.

Ożarów, przeważnie zamieszkały przez żydów; ponieważ byliśmy tam w sobotę, cała ludność była zajęta służbą bożą.

Warka, zbudowana nad brzegiem rzeki Pilicy; tu nie słyszeliśmy nic, tylko jęki i płacz, bo całe miasto pożoga obróciła w popiół aż po samą rzekę; tylko jedna nędzna chałupa i plebania ocalały. W kościele wszystkie ołtarze, wszystkie dzwony spaliły się do cna. Jak słyszeliśmy, mieszka w tem mieście wielu kupców, bo od Wisły wszyst-



ko bydło pędzą w tę stronę, a stąd naodwrot wszystkie pszenicę, żyto, owies, potaż, miód, воск, drzewo tam zwożą; to też kupcy żyją tam w wielkim dobrobycie.

Mazowsze, dawniej księstwo udzielne, własnymi prawami rządzone, teraz przecież pozostaje pod berłem tego samego króla i też same prawa posiada, co i Polska.

To też nie troszczę się o osobny opis ogólny, dając tylko czytelnikowi po kolei kilka opisów miast.

Warszawa, stolica Mazowsza, zwykle i ulubione miejsce zamieszkania króla polskiego, piękne miasto nad brzegiem Wisły. Wielki Zamek z ogromnym placem. Jezuita mają tam wielkie kolegium, które zbudowano za jednomyślną zgodą sejmów całego państwa. Budują tam teraz kościół, jakiemu podobnego nie będzie w całym Mazowszu. W mieście tem znaleźliśmy wielu rodaków, był tam wtedy mój życzliwy przyjaciel Stefan Nagy z Szeps, który nas jeden dzień gościł uprzejmie.

W czasie naszego pobytu odbywał się sejm, na którym widzieliśmy kwiat polskich panów i szlachty. Dziwiłem się wielu drogim jedwabnym i sukienym ubiorom Polaków, piechocie wysokiej i dobrze zbudowanej, licznej jeździe, spacerom panów i pań, jeżdżącym w powozach osobli-

wszego kształtu; dziwiłem się bogatym towarom kupców, trzewikom mnichów i liczny zabójstwem etc. Mieszkaliśmy szczęśliwie obok ratusza, gdzie jest także dom publiczny u Pawła Liszki. Wieczorem, kiedy zabawialiśmy się przed domem, dziwił się, jak rycerze polscy krzyczeli i rąbali się szablami o nieczyste osoby.

Zakroczym słynny jest bardzo z taniości, tak, że Polacy, którzy jadą do Gdańska, starają się tam kupić chleba, mięsa i suszonych ryb, bo taniej nigdzie nie dostaną. Co innego, że tam dla przyjemności wielu cudzoziemców przejeżdżających całe miasto pełne jest osób nieczystych, które na ulicy doprawdy gwałtem ciągną człowieka do bezbożnych praktyk. W tem mieście widziałem po raz pierwszy, jak idące do domu świnie kąpiono, czesano i myto.

Wyjechaliśmy stamtąd statkiem, ale że woda była bardzo mała i statki stawały na mieliźnie, my, chociaż mieliśmy dosyć zapasów żywności, nudziliśmy się na statku, aż nareszcie wysiedliśmy. Idąc pieszo, minęliśmy Wyszogród, Czerwińsk i dotarliśmy do Płocka.

(D.C.N.)

tłóm. dr. Adryan Divéky.



Z Polsk. Tow. Krajozn.

+Sekcja wycieczkowa Oddziału P. Tow. Krajozn. w Zagłębiu, zorganizowała dnia 15 października 1911 roku wycieczkę do Bukowna, Bolesławia i Olkusza. Liczba uczestników 35, prowadził p. Br. Jasiński. Wycieczka ruszyła kilku partjami z Sosnowic, Będzina i Dąbrowy rannym pociągiem kolei Nadwiślańskiej do st. Bukowna, gdzie powitał wycieczkę zawiadowca kopalni galmanu Tow. Franco-Ruskiego, p. inżynier Paderewski w towarzystwie sztygarów: pp. Krajewskiego i Regulskiego, oraz nauczyciela Gronkiewicza. Po przebraniu się całe towarzystwo podzielone na 2 partje zeszło do sztolni Czartoryskiej, osuszającej kopalnię galmanu Ulises w Bukownie. Sztolnia ta, odnowiona i wykończona przed 15 laty, datuje swój początek w r. 1548. Hieronim Łabęcki stwierdza, że towarzystwo gwareckie, które tę sztolnię prowadziło, musiało robotę porzucić po 40 latach istnienia, upędziwszy w ciągu tego czasu około 770 sążni chodnika. Część sztolni, pędzona w kamieniu wapiennym, pozostała do dzisiaj w stanie pierwotnym: zwiedzający mogli

podziwiać wysoce umiejętną, rzeźby można, benedyktyńską robotę naszych przodków — ściany i sklepienie krzesane w twardej skale, nieledwie wyszlifowane pracowitą ręką górnika. Spód sztolni tworzy sztuczne koryto strumienia podziemnego, odprowadzającego wodę z kopalni do kanału, a następnie do rzeczki Sztoły, dopływu Białej Przemszy. Ilość wody, wypływającej ze sztolni, wynosi około 20 m³ na minutę.

Po chwilowym odpoczynku „na wadze” ruszyło całe towarzystwo do niedalekiej kopalni galmanu Ulises, gdzie zwiedzono sortownię i płuczkę galmanu i kruszcu. Kruszec (siarek ołowiu) był tu oddawna eksploatowany w znacznych rozmiarach, dziś jest już prawie wyczerpany, a odbudowa ma na celu wyłącznie galman (rudę cynkową), którego użytku dawni górnicy nie znali. Galman, często przzerośnięty kruszczem, znajduje się tu w postaci gniazd, rozrzuconych w dolomicie lub na wapieniu, podścielającym dołomit. Wapień ten nosi nazwę techniczną „wapienia podstawowego”, gdyż stanowi granicę dolną występowania rud cynkowych i ołowianych. Odbudowa, zdawna tu podjęta, jest wieloszybowa, to też na znacznym obszarze kopalni widzi się kilkadziesiąt szybów, przykrytych „jatami” w postaci miniaturowych domków czy chat.

Z kopalni udała się wycieczka do Krążka, gdzie



w miejscowej szkole zastawiono gościnny posiłek. Przy stole biesiadnym, urozmaiconym licznymi toastami i przemówieniami, zeszło kilku miłych chwil, poczem na zaproszenie obecnego zawiadowcy sąsiedniej kopalni bolesławskiej, p. inżyniera Cisowskiego, udało się całe towarzystwo na odkrywkę bolesławską, prawdziwie imponującą swym ogromem (50 metr. głębokości i 500 m. długości). Jak na dłoni widać tu cały przekrój warstw rudonośnych: dolomit, gniazda galmu i kruszczy i jak gniazda ptasie przekroje dawnych chodników pokruszczowych. Z wału odkrywki rozciąga się cudowna panorama z kościołem i wsią Bolesławem na pierwszym planie, przepięknym łukiem pasma górskiego w głębi, u stóp którego błyszczy w słońcu piasek okiem niezmierzonej pustyni błędowskiej.

Po zwiedzeniu po drodze pięknego nowego kościoła w Bolesławiu i zdjęciu fotograficznym oryginalnej figury św. Barbary, błogosławiącej przywalonego kamieniem górnika, udała się wycieczka do ślicznego parku bolesławskiego, do niedawna własności hr. Mycielskich, obecnie Tow. Sosnowickiego, poczem wyciągniętym marszem do odległego o milę Olkusza. Niestety, szybko zapadający zmrok nie pozwolił na zwiedzenie ciekawej ze wszech miar sztolni ponikowskiej i kościoła olkuskiego. Pomimo to należy się serdeczne podziękowanie pp. Paderewskiemu i Cisowskiemu za uprzejme i gościnne nad wyraz przyjęcie wycieczki.

W roku bieżącym sekcyja projektuje następujące wycieczki:

Dn. 12 listopada do Częstochowy.

Dn. 26 i 27 listopada do Wieliczki.

Dn. 31 grudnia do kop. „Saturn”.

Dn. 24, 25, 26 i 27 grudnia do Zakopanego.

Sekcyja odczytowa po wakacjach zorganizowała 2 odczyty: dn. 8 października p. K. Stołyhwo mówił o upiększaniu ciała u ludów dzikich i kulturalnych, i d. 5 listopada p. M. Wisznicki o pięknie naszego kraju.

Niezależnie od odczytów publicznych sekcyja organizuje na tygodniowych zebraniach członków T-wa pogadanki. Dotąd wygłosili referaty: p. A. Sujkowski — „O stosunkach ekonomicznych w Galicyi”, „O mieszczaństwie w dawnej Polsce i w chwili obecnej”, p. Warchałowa „O jesieni w przyrodzie”, p. Warchoł — „O instykcje u zwierząt”. Na najbliższych zebraniach będą mówili: p. Sujkowski — Zarys geografii ekonomicznej, p. Danyszówna — O klimacie w różnych epokach geologicznych, p. Piwowar — O petrografii. Publiczny odczyt w grudniu wygłosi prof. Bujak — O stanie rolnictwa w chwili obecnej.

+Dnia 8 b. m. odbyło się miesięczne zebranie Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego w Warszawie pod przewodnictwem prezesa K. Kulwiecia, który zdał sprawę z czynności Zarządu Głównego za miesiąc ubiegły.

Z powodu przypadającej w roku przyszłym rocznicy Kraszińskiego, J. I. Kraszewskiego, Kollątaja i Skargi postanowiono kilka zebrań miesięcznych przyszłorocznych wypełnić wspomnieniem, tym mężom zasłużonym poświęconem, oraz wydać odpowiednie jubileuszowe pocztówki krajoznawcze.

Do osądzenia prac monograficznych, nadesłanych na konkurs krajoznawczy (termin upłynął 1 listopada r. b.) Zarząd postanowił uprosić następujące osoby: pp. K. Czerwińskiego, K. Chmielewskiego, M. Heilperna, St. Krzemińskiego, F. Pułaskiego, L. Sawickiego i S. Thugutta.

Warszawska Orkiestra Symfoniczna przyznała członkom Towarzystwa Krajoznawczego 15% ustępstwa od biletów na koncerty popularne i 25% na symfoniczne.

Dnia 1 listopada Zarząd Główny odbył naradę z delegatami oddziałów prowincjonalnych, na której rozważono ogólne warunki działalności Towarzystwa, szczególnie na prowincyi i powzięto obowiązujące dla wszystkich oddziałów następujące uchwały:

1. Odbywanie przez Zarząd Oddziału posiedzenia swego przynajmniej raz na miesiąc (z wyjątkiem lipca i sierpnia).

2. Zorganizowanie przynajmniej 6 razy do roku zebrań miesięcznych dla członków i wprowadzonych gości, na których mają być komunikowane wszelkie sprawy, podjęte lub wykonane przez Zarząd lub Komisję Oddziału oraz przez Zarząd Główny, wygłaszane referaty treści krajoznawczej ogólnej lub dotyczącej najbliższej dla Oddziału miejscowości.

3. Bezwarunkowe przysyłanie delegatów na Zebrania Ogólne T-wa lub nadzwyczajne posiedzenia Zarządu, odbywane przy udziale Oddziałów w Warszawie przynajmniej raz do roku.

4. Przesyłanie do Redakcyi „Ziemi” przynajmniej raz na kwartał sprawozdania z działalności Oddziału.

5. Organizowanie odczytów publicznych treści krajoznawczo-naukowej lub obrazujące prace T-wa Krajoznawczego.

6. Podejmowanie wycieczek krajoznawczych dla członków i wprowadzonych gości nie mniej niż 6 w ciągu roku.

7. Gromadzenie miejscowych zbiorów krajoznawczych.

8. Członkowie Zarządów, przyjmując mandaty, winni być poinformowani o obowiązujących je uchwałach powyższych i obejmować powierzone im przez Zebranie Ogólne Oddziału stanowiska honorowe — pod hasłem moralnej odpowiedzialności.

9. W razie niemożności wykonania którejkolwiek z powyższych uchwał Zarząd Oddziału winien zawiadomić o tem niezwłocznie Zarząd Główny, który na jedno z najbliższych Zebrań Ogólnych Oddziału winien wysłać na miejsce swego delegata z odpowiedniami pełnomocnictwami.

Po przeprowadzonej dyskusyi w sprawie członków korespondentów Towarzystwa postanowiono termin kadencji ich określić na ciąg lat 3—5 i rozesłać odczwę w sprawie zakomunikowania Zarządowi swych uwag i spostrzeżeń, dotyczących warunków współdziałania członków z zadaniami Towarzystwa.

Postanowiono przystąpić do wydania szregu popularnych broszur treści krajoznawczej dla ludu. Zaakceptowano propozycję inż. Minkiewicza z Olkusza otworzenia tam Oddziału Towarzystwa.

Zakomunikowano zebranym rezolucyę ostatnie-



go zebrania Ogólnego Stowarzyszenia Techników w Warszawie z d. 20 października r. b. w sprawie targu tego stowarzyszenia z prasą.

P. Zygmunta Buscha z Grodna mianowano członkiem korespondentem, na członków zaś popierających zapisali się: p. Gabriela Roesnerowa i hr. Ordynat Maurycy Zamoyski. Nowych członków rzeczywistych przyjęto w ubiegłym miesiącu — 40.

Prof. Z. Wolski wygłosił referat „O najstarszych drukach polskich”, ilustrowany barwnymi obrazami nikinącymi, wice-prezes Al. Janowski zaś — „O drożynie dawnych dobrych czasów”.

W niedzielę 5 listopada wybrały się do Frascati dwie grupy wycieczkowe pod przewodnictwem prof. Kulwiecia, który w Muzeum hr. Branickich wygłosił pogadankę o ciekawych przejawach przystosowania się do warunków u zwierząt wogóle i ptaków w szczególności. Obejrzano następnie bogate zbiory ornitologiczne, a potem uroczy park. Wiele osób prosiło o powtórzenie tej wycieczki na wiosnę.

Oddział Kaliski d. 8 października zorganizował przy udziale 16 uczestników wycieczkę do Kórnika w Poznańskim, gdzie zwiedzono zbiory artystyczne i historyczne.

Staraniem Oddziału Zawierckiego P. T. Kr. d. 30 września odbył się w Zawierciu odczyt wiceprezesa Zarządu głównego Al. Janowskiego na temat „Łysogóry” wobec licznych słuchaczy. Następnego dnia staraniem sekcji Wycieczkowej odbyła się wycieczka krajoznawcza z Zawiercia do Century i Hutek. Wycieczka furkami włościańskimi pod kierunkiem p. Walickiego zwiedziła po drodze Rodaki, oglądając kościołek miejscowy, piękny zabytek budownictwa drzewnego. Na następnym zebraniu wygłosić ma odczyt p. Zasucha. Na sezon jesienny oddział zawiercki zapowiedział następujące wycieczki: 24 września do Olsztyna 1 października do Hutek i Century, 8 października do Mirowa i Bobolic, oraz 26—27 listopada—do Wieliczki. W składzie Zarządu Oddziału zaszyły następujące zmiany: z powodu wyjazdu ks. Chodorowskiego (dotychczasowego prezesa) i p. Nowińskiej—do Zarządu weszli: pp. Marcin Ginsberg i Franciszek Jaros, obowiązki zaś prezesa do końca roku spełnia p. Stefan Przyborowski.

Nowe książki.

Nakładem wydziału ofiar „Gazety Warszawskiej” wyszedł z druku rozkład jazdy „PUF” na sezon zimowy, rozpoczęty dnia 28 października r. b. Odróżnia się ów rozkład zewnętrznie od letniego przepaską zieloną na okładce (zamiast czerwonej) wewnętrznie zaś licznymi ulepszeniami.

Ze względu na praktyczny układ i przyzwoity wygląd zewnętrzny wydawnictwo to godne jest zalecenia.

□□□□□□□□

Kronika krajoznawcza.

+ Z ogłoszonego w tych dniach sprawozdania uniwersytetu warszawskiego okazuje się, że w dniu 1-y m. stycznia r. b. w Bibliotece Głównej było 273,014 dzieł w 456,663 tomach, wydawnictw peryodycznych 4,969 w 81,721 tomach, 1,380 rękopisów w 1,384 tomach i zeszytach; map, rysunków, portretów, nut i t. p. 9,591 w 10,766 tomach, czyli razem 288,954 numerów w 550,559 tomach wartości 627,450 rubli 41 kop. Prócz tego w bibliotece studenckiej było 11,649 dzieł w 19,115 tomach i 1,624 tomów wydawnictw peryodycznych, czyli razem 11,781 dzieł w 20,739 tomach wartości 30,410 rub. 47 kop. Ogółem przeto w obu bibliotekach było 300,735 dzieł w 571,298 tomach wartości 657,860 rub. 88 kop., nie licząc biblioteki po b. Banku Polskim.

□□□□□□□□

SPROSTOWANIE.

W świeżo ukończonym artykule p. B. Janusza „Cerkwie drewniane w okolicach Lwowa” wkradły się w podpisach pod ilustracjami omyłki, które pospieszamy sprostować, przepraszając zarazem szanownego autora za krzywdę, wyrządzoną mimowolnie jego pracy:

Mianowicie: na str. 704 zamiast „cerkiew w Grzędach” ma być „cerkiew w *Pikułowcach*”; zamiast „cerkiew w Żyrawce” ma być „cerkiew w *Grzędzie*”; na str. 705 zamiast „cerkiew w *Pikułowcach*” ma być „cerkiew w *Żyrawce*”; na str. 721 zamiast „dzwonnica w *Zapytowiu*” ma być „*dzwonnica w Zaszkwowie*”; zamiast „dzwonnica w *Zaszkwowie*” ma być „*dzwonnica w Zapytowiu*”.

TREŚĆ: *M. Federowski*—Zygmunt Gloger; *Wandalin Szukiewicz*—Dwory, Zamki i Pałace, 38. Zamek w Lidzie (z 2 ryc.) *G. Smólski*—Z podróży na Pomorze. *Jan Jaroszyński*—Wejście na Mont-Blanc (z 4 ryc.). *Kazimierz Ruski*—Puszcza Myszyniecka (z 3 ryc.). *Dr. Adr. Diveky*—Z podróży Węgrów w Polsce. Z Polskiego Tow. Kraj. Kronika krajoznawcza. Poza tekstem Z naszych krajobrazów: 38. Teterów pod Żytomierzem.

Winięty tytułową i ozdoby w tekście (motywy kujawskie) rysewał *Mikołaj Wisznicki*.—Odbito w Uochni Piotra Laskauera.—Skład i zamal *Ignacy Miszga*.—Odbijał na maszynie *Władysław Kaczorowski*.—Kilse wykonane w zakładzie *B. Wierzbickiego i S-ki*.—Papier krajowy z fabryki *A. Moesa w Pilicy*.

Redaktor i Wydawca **Kazimierz Kulwiec**